

A photograph of a man's back and shoulder, showing several tattoos. The most prominent is a large, ornate cross on the upper back, surrounded by intricate floral and vine patterns. The man has a beard and is looking to the left. The background is dark and textured.

Myślała, że był zwykłym żołnierzem w szeregach mafii.  
A on wkrótce mógł rządzić irlandzkim podziemiem.

# Crow

Pierwszy tom serii o irlandzkiej mafii

A. ZAVARELLI



Tytuł oryginału

*Crow*

Copyright © 2016 by A. Zavarelli

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2020

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Anna Strączyńska

Korekta:

Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska

Joanna Kasprzyk

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8178-425-2

**A. ZAVARELLI**

# **CROW**

**BOSTON UNDERWORLD #1**

**TŁUMACZENIE**

**TOMASZ KUPCZYK**

**OŚWIĘCIM 2020**



# PROLOG

## Mackenzie

Nienawidzę gliniarzy.

Naprawdę, naprawdę ich nienawidzę. Szczególnie tutejszych gliniarzy. Człowiek nigdy tak do końca nie wie, na czyjej liście płac się znajdują. Użeranie się z nimi przez ostatnie pół roku wcale nie poprawiło ich wizerunku w moich oczach.

Pieprzeni gliniarze.

Wcale nie chcieli ze mną rozmawiać. Gdy zgłaszałam raport o zaginięciu, ledwo przyjrzeni się szczegółom sprawy. Podjęte czynności? Brak. Za każdym razem, kiedy widzą mnie na posterunku, przewracają tylko tymi pieprzonymi ślepiami. Gównu ich obchodzi zaginiona kobieta o wątpliwej reputacji. Tak jak tysiące jej podobnych w tym kraju została wessana w czarną dziurę i już nikt nigdy o niej nie usłyszy ani nie zobaczy. Ich rodziny i przyjaciele zdani są na łaskę systemu, który rozdziela śledztwa na podstawie tego, kto najładniej prezentuje się w gazetach lub kto najgłośniej krzyczy o nich w radiu lub telewizji. Na temat Talii nie krzyczy nikt poza mną, a to oznacza, że ode mnie zależy odkrycie tego, co się z nią stało.

Taka sama historia była z moim ojcem. Zapomnijcie o tym, że został brutalnie zamordowany. Zasłużył na ten los, bo był niezrzeszonym bokserem, który brał udział w podziemnych walkach. Zadawał się ze złymi ludźmi i musiał za to odpokutować. Tak właśnie działali tutejsi gliniarze. W ten sposób poradzili sobie ze sprawą śmierci mojego ojca oraz z trzynastolatką, którą zostawił. Zamietli to pod dywan i odłożyli na dno sterty spraw, które naprawdę mają znaczenie.

Byłam wtedy dzieciakiem, więc nie miałam nic do gadania. Teraz jestem dorosła – mam dwadzieścia dwa lata i niech mnie szlag, jeśli pozwolę, żeby to się powtórzyło. Ostatnie dziewięć lat mnie zahartowało, sprawiając, że stałam się kobietą o sercu ze stali. Tym razem nie dam za wygraną. Zrobię wszystko, co będzie trzeba, aby odnaleźć Talię. Podchodzę do tej sprawy bardziej osobiście niż którakolwiek z tych małych w mundurach.

I właśnie dlatego teraz tkwię w biurze jakiegoś tumana pracującego dla FBI. Mimo to i tak współczuję siedzącej naprzeciwko mnie kobiecie. To agentka Cameron – o czym informuje tabliczka i inne propagandowe przedmioty porzucane po całym biurku. Jeśli się im bliżej przyjrzeć, można z nich wyczytać coś o wewnętrznym funkcjonowaniu ich właścicieli. A biuro pani Cameron mówi mi, że ta kobieta pragnie czuć się kimś ważnym. Prawdopodobnie poświęciła pracy najlepsze lata swojego życia. Mimo to i tak utknęła, przerzucając papiery w biurze, i jedynym świadectwem jej kariery jest ta cholerna tabliczka.

Na jej zmęczonej twarzy dostrzegam zmarszczki goryczy. Wygląda tak, jakby przez całe życie nie miała ani jednego dnia radości. No ale z drugiej strony, czy ja taki miałam? Może właśnie to w niej nie daje mi spokoju. W jej oczach dostrzegam swoje odbicie. Pustą przyszłość, w której tylko koty będą czekały na mnie pod koniec dnia, aż wrócę do domu.

Wyobrażam sobie, że ma całkiem sporo tych sierściuchów. Jej nijakie, rude włosy zdają się nadal tkwić w latach osiemdziesiątych, a szary garnitur, który ma na sobie, w ogóle nie pasuje do bladej cery. Wsuwa okulary wyżej na nos i upija łyk z kubka oznajmiającego, że była w Disneylandzie. Wydaje mi się, że chociaż tyle ją spotkało w życiu.

– Proszę posłuchać, eee... – Spuszcza wzrok na leżące przed nią papiery, chcąc odnaleźć moje imię. To samo, które już powtórzyłam jej dwukrotnie.

– Mackenzie – odpowiadam.

– Tak, Mackenzie. – Prostuje plecy i wzdycha. – Rozumiem pani frustrację. Naprawdę, rozumiem. Wiem, że na to nie wygląda, ale śledztwo cały czas jest w toku i obiecuję ci, rozwiążemy tę sprawę.

Złość gotuje się we mnie niczym lawa, grożąc, że w każdej chwili się rozleje, niszcząc wszystko wokół mnie. Jak Boga kocham, te dupki są zaprogramowane tak, aby w kółko powtarzać jedno i to samo. A ja mam dość słuchania tej samej, starej śpiewki. Przez całe życie karmiono mnie takimi bzdurami. Rodziny zastępcze, pracownicy socjalni, policja i wszyscy inni zawsze mówili, że wiedzą, co jest dla mnie najlepsze. Odbijałam się od poszczególnych elementów systemu niczym piłeczka pingpongowa tak często, że ledwie wystarcza mi sił na dalszą walkę.

Właśnie tego chcieli: żebym wróciła do domu i się poddała. Zakładają, że gdy w końcu miesiące staną się latami, ból w końcu zniknie i zapomnę o tym, że Talia kiedykolwiek istniała. Jednak tak się nie stanie. Nigdy z niej nie zrezygnuję.

Biorę głęboki wdech i przesuwam zniszczoną fotografię po blacie biurka. Zdjęcie o wymiarach dziesięć na dwanaście i pół przedstawia rzadki oraz niepozowany obraz. Talia uśmiecha się, patrząc przez ramię najczystszyimi oczami, jakie kiedykolwiek widzieliście. Szczerze mówiąc, nigdy wcześniej nie była bardziej uśmiechnięta. Nawiedzało ją zbyt wiele demonów, ale udało mi się uchwycić ten moment na kliszy; jest on dla mnie najcenniejszy. Chcę, żeby wiedzieli, że była prawdziwą osobą, o prawdziwych uczuciach. Co więcej, jeśli moje własne śledztwo mnie czegoś nauczyło, to tego, że media uwielbiają mówić o dziewczynach z uroczym uśmiechem.

– Pani spojrz na jej twarz – błagam. – Pani spojrz na tę dziewczynę. Nie na numer jej sprawy, tylko na jej twarz. Nie jest żadną ulicznicą, dziewczyną na telefon czy kimkolwiek, do cholery, pani myśli, że jest, i to czyni ją mniej ważną osobą. Nie bierze narkotyków, nie jest żadną kryminalistką. Nazywa się Talia Parker.

Moje usta zaczynają drżeć, lecz mówię dalej. Nie jestem płaczką. Gdyby był tu mój ojciec, powiedziałby, żebym pozbięła się do kupy. Emocje są luksusem, na który Wilderowie nie mogą sobie pozwolić. Ta filozofia stała się nieodłączną częścią naszej relacji, będąc jej wzmocnieniem albo skazą na niej, w zależności kto jak na to patrzy. Mówił, żebym nie płakała, więc nie płakałam. Powtarzał, żebym nikim się nie przejmowała, więc się nie przejmowałam. Stłamsiłam to wszystko i zamknęłam głęboko w sobie. Prawdę mówiąc, to czuję zbyt wiele, lecz nie zauważylibyście tego po mnie. Nikt tego nie robi.

Bo zawsze nad sobą panuję.

Jednak po sposobie, w jaki agentka Cameron na mnie teraz patrzy, moglibyście pomyśleć, że jestem histeryczką. Ale mam gdzieś to, co ona myśli. Muszę tylko do niej dotrzeć.

– Dorastałyśmy w jednej rodzinie zastępczej. – Z mojej piersi wyrywa się zduszony śmiech. – To takie banalne, prawda?

Mój głos brzmi teraz jak głos wariatki, tak samo wyglądają oczy wytraconej z równowagi agentki Cameron. Tak czy siak brnę naprzód.

– Będzie to pani wiedziała, jeśli przeczyta jej akta. Pani wie, że ona już raz wymknęła się spod kontroli. Proszę...

Trzeba przyznać, że agentka Cameron spojrzała na twarz Tallii. Przynajmniej przez dobrą minutę słuchała moich słów. Ten maleńki akt dobroci sprawił, że czuję się lepiej. Większość innych ludzi nie potrafiła zrobić nawet tego.

– Jest bardzo ładna – odchrząkuje agentka Cameron i przesuwając zdjęcie w moją stronę. – Jeśli się czegoś dowiemy, obiecuję, że się z panią skontaktujemy, panno Wilder.

Ściany zbliżają się w moją stronę. Wszystko zaczyna blaknąć i się kurczyć. Mam ochotę krzyczeć. Uderzyć w coś. Zachowywać się jak kompletna wariatka. Mam ochotę rozwalić to żałosne biuro i wdeptać tabliczkę z jej nazwiskiem w podłogę.



Zamiast tego, raz jeszcze nabieram powietrza. To by wcale nie przysłużyło się mojej sprawie.

– A co z dowodem, który wam dostarczyłam? – żądam odpowiedzi.

Agentka Cameron marszczy brwi i wertuje wyciągi bankowe Talii oraz wszystkie informacje, które do tej pory zdołałam zgromadzić, choć i tak nie ma tego dostatecznie wiele. Wiem o tym, że chwytam się brzytwy.

– To tak naprawdę nie są dowody – oznajmia. – To wszystko dowodzi temu, że co dwa tygodnie wpłacano gotówkę na jej konto bankowe. Nie mając czeku, nie mamy żadnego śladu, od kogo pochodziły te pieniądze.

– Są od nich. – Zaciskam dłonie w pięści. – Przysięgam to pani.

Jej wargi opadły i wiem, że za chwilę wywali mnie z gabinetu.

– A co z innymi dziewczynami? – naciskam. – Nie uważa pani za dziwne tego, że w ciągu minionego roku w okolicy wzrosła liczba zaginięć? I dotyczą one młodych, atrakcyjnych dziewczyn. One gdzieś muszą być.

– Mogę panią zapewnić, że przyglądają się temu nasi najlepsi agenci – oznajmia. – Ale na chwilę obecną nie widzimy związku między tymi dziewczynami a *Slainte*. Pani przyjaciółka jest jedyną osobą, która ma związek z klubem, i jeśli to, co pani mówi, jest prawdą, i tak nie mamy na to dowodów.

– Wyślijcie agenta pod przykrywką – nalegam. – Przekonacie się.

– Nie mamy wystarczających środków, żeby zrobić coś takiego – oświadcza. – Mamy związane ręce w przypadku braku cienia dowodu.

*Dowód.*

Wszystko się do tego sprowadza. A oni oczywiście nie będą ich zostawiali. To jebana mafia. Czego policjanci oczekują? Wielkiego neonu mówiącego: „robimy tu podejrzane interesy”? Jestem pewna, że federalni są tego świadomi. Wszyscy w mie-

ście są. I na tym polega problem. Człowiek nigdy nie wie, który z tych dupków gra w ich drużynie.

Tupię nogą i strzelam oczami po biurze jak jakaś ćpunka. Nie nawidzę ograniczeń. Tych szarych ścian oraz smrodu nieświeżego powietrza. Dowód. A skąd ja go wezmę?

Wzbijam wzrok w oczy agentki Cameron i składam najodważniejszą propozycję:

– Wyślijcie tam mnie – oferuję. – Pójdę pod przykrywką. Nie musicie mi płacić. Możecie ze mną współpracować czy jakkolwiek, do cholery, to określacie.

Jej usta przypominają wąską linię, a powieki przysłaniają oczy.

– Nigdy byśmy nie wyrazili zgody na coś takiego, panno Wilder – stwierdza stanowczo. – Więc niech pani nie wpada na żadne genialne pomysły.

Chwyta nieodzowną białą wizytówkę, z którą zamierza mnie odesłać, po czym wstaje. Idę w jej ślady, bo oczywiście jest to, że nie znajdę tu pomocy.

– Jeśli przyjdzie pani do głowy cokolwiek, co mogłoby pomóc w sprawie, proszę dzwonić na ten numer.

Biorę od niej karteczkę i zgmatam ją w pięści, jednocześnie posyłając jej lodowaty uśmiech.

– Dziękuję, za poświęcenie mi czasu – mówię.

Wychodzę na zewnątrz i wskakuję do taksówki, dochodząc do własnych wniosków. Agentka Cameron jest w błędzie. Siedząc na skrzypiącej winylowej kanapie w taryfie śmierdzącej salami, uśmiecham się pusto. Bo czy jej się to podoba, czy nie, uważam swój pomysł za dobry. W rzeczywistości to najlepszy, pieprzony, pomysł, jaki miałam w ciągu minionego pół roku.

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## Lachlan

Miasto wydaje się wyblakłe, gdy stoimy pod szarym bostońskim niebem, uczestnicząc w irlandzkim pogrzebie dziadka, którego nigdy tak naprawdę nie miałem okazji poznać.

Chłopaki jeden po drugim wychodzą na przód i wygłaszają mowę pożegnalną. Stojący obok mnie Niall i Ronan milczą. Jesienny wiatr niesie słowa kondolencji wypowiedzianych słabym, ledwo słyszalnym głosem. Mam kompletnie przemoczone ubranie, a powietrze jest rześkie po burzy.

Gdy przychodzi moja kolej, stoję przy trumnie i – jak często bywa – brakuje mi słów. Kiedy staruszek był jeszcze na tym świecie, żaden z nas nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Jak więc teraz mogłoby być inaczej?

Biała lilia, którą trzymam w ręce, wędnie na moich oczach. Poza mną Carrick był jedynym Crowem. Jego ostatnia wola jest obciążeniem mojej duszy. To brzemię, by być ze mnie dumny, brzemię kontynuowania jego spuścizny i przedłużenia linii naszego rodu. Jak mógłbym odmówić umierającemu człowiekowi, który wygłaszał swoje ostatnie nadzieje, krztusząc się każdym cholernym haustem powietrza?

I to nie były puste obietnice. Każde wypowiedziane przeze mnie w ostatnich chwilach jego życia słowo było przysięgą. Sprawię, że będzie ze mnie dumny. Jeśli będzie trzeba, będę kroczył jego śladami aż do samych bram piekła, tylko po to, by dotrzymać danego mu słowa. Człowiekowi, który mnie wychował. Człowiekowi, który dał mi wszystko.

Pośród szeptów katolickiej modlitwy zebrani rzucają kwiaty na drewniane wieko trumny, która po chwili zostaje opuszczona na dno dołu. Razem z Niallem wykonujemy ponownie znak krzyża, recytując przy tym słowa kodeksu, którym Carrick kierował się przez ostatnie trzydzieści lat. Tego samego kodeksu, którym również my wszyscy się kierujemy.

– Rodzina, lojalność, honor i krew. Tylko te rzeczy są prawdziwe.

Niall pozwala mi spędzić chwilę nad grobem, a potem pochyla głowę.

– Chodź, przejdziemy się.

Na cmentarzu panuje ponura atmosfera, całe to miejsce prześlągnięte jest śmiercią i towarzyszącym jej żalem. Trawę pod naszymi stopami pokrywa warstwa jesiennych liści. W moim sercu nie ma miejsca na smutek. Dawno temu pogodziłem się ze śmiercią. Żaden człowiek nie przychodzi na ten świat, oczekując nieśmiertelności. Carrick – tak samo jak ja – byłby zaszczycony, oddając życie za syndykat.

Nie zamierzam jednak teraz tego rozpamiętywać, później przyjdzie na to czas. Posłusznie wchodzę za Niallem po kamiennych stopniach kościoła świętej Marceliny z Trewiru. Masywne dębowe drzwi otwierają się bez najmniejszego problemu. Drewniane ławki stoją ustawione wzdłuż nawy, powietrze wypełnia skrucha oraz woń wina. Dochodzę do końca nawy, klękam, po czym odmawiam modlitwę za zmarłych.

Nie uważam się za dobrego człowieka, jak w przypadku każdego katolika grzechy ciążyły na moim sumieniu. Gdy miałem osiem lat, mama powiedziała mi, żebym nie był taki, jak ojciec. Więc oczywiście jest, dlaczego pragnąłem takiego życia. Wybrałem, jaką życiową ścieżką chcę kroczyć, i wybrałbym ją ponownie. Idea naszej ekipy opiera się na lojalności, honorze i rodzinie – są to wartości, które cenimy najbardziej. Dbamy o siebie, chronimy się nawzajem i kierujemy się moralnością, mimo że

nie prowadzimy uczciwych interesów. Jeżeli mam splamić duszę jakimś złym uczynkiem, będzie to moja decyzja. A jeśli za popełnione na ziemi grzechy będę musiał zapłacić, idąc do piekła, niech tak będzie.

Ta rodzina jest jedyną, jaka mi pozostała.

Po chwili Niall siada obok mnie i wyjmuję z wewnętrznej kieszeni marynarki piersiówkę. Nie przejmuje się formalnościami czy kwestiami religijnymi. Ten człowiek dawno temu dał sobie spokój z Bogiem. Dzisiejszego dnia modlił się jedynie po to, by okazać szacunek Carrickowi.

Podaje mi piersiówkę, którą od niego odbieram, po czym pociągam mały łyk. Niall zawsze ma dobre trunki. Cały czas siedzimy w kompletnej ciszy, skupiając wzrok na znajdującym się przed nami ołtarzu. Jako przywódca, Niall swoją stoicką postawą wzbudza większy strach niż kiedykolwiek jakiś pyskaty półgłówek.

Wkłada rękę do kieszeni, a gdy ją wyjmuję, przez dłoń obleczoną skórzaną rękawiczką ma przewieszony należący do mojego dziadka medalik świętego Antoniego.

– Chciał, żebyś go dostał, synu.

Przesuwam palcami po pokrytej wzorem złotej powierzchni, a wewnątrz mnie narasta ból, jakiego nigdy nie czułem. Mógł wybrać każdego innego świętego, lecz zdecydował się właśnie na tego. Carrick nigdy nie bał się śmierci, bardziej lękał się utraty duszy.

– Wiem, że cierpisz, Lachlanie – mówi Niall. – Nie miałeś wystarczająco czasu, żeby go poznać.

– Nie, nie miałem.

Piętnaście lat nie wystarczyło, aby poznać człowieka takiego jak mój dziadek. Biorąc pod uwagę naszą relację, nie wydaje mi się, że można by było to osiągnąć nawet w ciągu pięćdziesięciu lat. Sprawy nie ułatwiał też fakt, że był bardzo cichym mężczyzną. Był co prawda silny i pełen dumy, lecz zawsze skryty.

Nigdy nie widziałem w nim ojcowskiego wzorca. Nigdy go za niego nie uważałem, odkąd w wieku szesnastu lat pojawiłem się na progu jego domu, a on mnie przyjął.

Tak naprawdę nigdy mi to nie przeszkadzało. Mój dziadek należał do zupełnie innego pokolenia: takiego, które wierzyło, że potomstwo powinno być silne i wierne. A ja byłem szczęśliwy, mogąc pójść w jego ślady. W wieku szesnastu lat wprowadzono mnie do Syndykatu MacKenna. Dzień, w którym złożyłem przysięgę krwi, był najbardziej wzniosłym dniem w całym moim życiu. Carrick nigdy tego nie przyznał, ale również był dumny.

Zaczynał w starym stylu. Napady na banki oraz opancerzone furgonetki. Narkotyki i hazard. Na tym się znał. To były jedyne metody, jakie znał. To on wprowadził mnie do grupy, niemniej to siedzący obok mnie człowiek sprawił, że jestem tym, kim jestem. Przez ostatnie dziesięć lat był moim mentorem. Przyjął rolę, której Carrick nie potrafił sprostać. Wspólnymi siłami doprowadziliśmy do tego, że nasza ekipa wkroczyła we współczesność. Carrick walczył z tym na każdym kroku. Dzisiejszy syndikat nie jest już mafią mojego dziadka. Niall wierzył, że jedynym sposobem, abyśmy mogli się rozwijać, jest naprawienie naszych błędów. Ostatecznie Carrick się uspokoił.

Teraz to i tak już nie ma znaczenia. Carrick odszedł. Medalik świętego Antoniego pali mnie w dłoń. Mój ród jest martwy. Jesteśmy bliżej niż kiedykolwiek zawarcia sojuszu z Rosjanami, lecz straciliśmy jednego z nas. To nie było zbyt sprawiedliwe poświęcenie.

Teraz złączą się zmiany. Od jakiegoś czasu da się je zauważyć w relacji między mną a Niallem. Ciężar odpowiedzialności. Obowiązek udowodnienia lojalności mężczyźnie siedzącemu obok oraz potwierdzenia swojego oddania syndykатовi. Ciężko będzie zająć miejsce Carrika, jednak nie ma nikogo bardziej chętnego ode mnie, aby to zrobić. Niall nie podda się tak łatwo. Sean rzuci mi wyzwanie, żeby walczyć o tę pozycję. Przez urodzenie

ma większe prawo, niż ja kiedykolwiek będę miał, by zostać następcą Nialla, niemniej chcę to osiągnąć. Tak bardzo tego pragnę, że czuję w ustach smak tego pragnienia.

– Sądziś, że jesteś gotowy na to, co będzie dalej? – pyta Niall.

– Ano.

Krew zostanie przelana. Polecą głowy, a w przyszłości zabiją weselne dzwony.

Jedynie przed tym ostatnim się wzbraniam, ale zrobię to, jeśli Niall mnie wybierze. Nie istnieje coś, czego bym nie uczynił dla syndykatu. Aby przypieczętować ten sojusz i zrobić dla Carricka to, co należy, wezmę Rosjankę za żonę, a wraz z nią zajmę należne miejsce prawej ręki Nialla.

Nikt ani nic nie stanie mi na drodze.

– Chciałbym się tym zająć – oświadczam.

Wpatruje się we mnie ciemnymi oczami, w których połyskuje szacunek. Wszystko w Niallu jest mroczne, począwszy od włosów aż po rysy jego twarzy. Ludzie kulą się i radują w jego obecności. Jest okrutny, ale również sprawiedliwy. Właśnie dlatego wiem, że przystanie na moją prośbę.

– Nie spodziewałbym się niczego innego. – Zapada cisza, a ja przez ten czas mam moment na przemyślenie sprawy. – Możesz wyruszyć jutro.

– Dzisiaj – nalegam. Ocenia mnie wzrokiem, próbując wybać, czym się kieruję. – Dzisiaj jest pogrzeb – zauważam. – Nie będą się nas spodziewali. Już i tak poczynili pewne kroki, żeby zmienić termin dostawy na niedzielę. Szykują się na oczywiste.

Niall bębni palcami o piersiówkę, a potem kiwa głową.

– Niech Ruscy się nimi zajmą. Niech to będzie dowód naszej wdzięczności.

Zaciskam palce na medaliku z siłą wpompowanej do moich żył adrenaliny. Żądy krwi. Zemsty.

Dzisiejszej nocy poczuję jej smak.

Niall zerka na zegarek, a potem wstaje.

– No cóż, powinieneś się streszczać, jeśli masz wyjechać wieczorem.

Razem ruszamy w kierunku frontowych drzwi. Przed rozejściem się każdy w swoją stronę klepie mnie w ramię i zaciska na nim palce.

– Straciłeś dziadka – mówi. – Ale wiedz, że zawsze będę uważał cię za syna.

\*\*\*

– A więc to tu? – Rory patrzy, z zajmowanego przez nas miejsca, na ścieżce na zniszczony dom. – I pomyśleć, że pizdy tu mieszkają.

Nikt z nas nie ma wyrzutów sumienia z powodu tego, co się za chwilę wydarzy. Ten ormiański gang z każdym dniem rośnie w siłę. Nadepnęli nam na odcisk, a będąc dokładnym, to nadepnęli na odcisk również Rosjanom. Nie chodzi jednak tu tylko o nas. Słyszałem, że Włosi też mają z nimi jakieś problemy.

Nadepnęcie na odcisk to jedno, ale strzelanie do sklepu, w którym mój dziadek spotykał się z Rosjanami? To coś zupełnie innego. Tylko w jeden sposób mogą za to zapłacić.

Ronan zajmuje miejsce przy moim boku, a reszta chłopaków idzie za jego przykładem.

– No to jak zamierzasz to zrobić? – pyta.

– Właśnie, *boss* – naśladuje go Sean. – Jak chcesz to zrobić?

Wchodzimy na ganek i wydaję im tylko jeden rozkaz:

– Zabić wszystkich.



## ROZDZIAŁ DRUGI

### Mackenzie

Pochylam się do przodu, aby utrzymać równowagę, jednocześnie podkulając pod siebie kolana, żeby dotknąć nimi przedramion.

Pozycja kruka.

Jest dość prosta. Wykonuje się ją w dwóch etapach, w których najwięcej uwagi trzeba poświęcić balansowaniu na dłoniach. A mimo to opanowanie tej pozycji zajęło mi całe wieki. Gdybym była człowiekiem, który w myślach rozkłada wszystko na czynniki pierwsze i analizuje – a nim nie jestem – to nie byłoby takie trudne do rozgryzienia.

Kruk w różnych kulturach symbolizuje wiele rzeczy: magię, transcendencję, przeznaczenie, intelektualne przebudzenie. Jest fizyczną manifestacją przestrzeni pomiędzy niebem a ziemią. Mimo że interpretacji jego symboliki jest wiele, to gdy obierzemy je z magii i wszelkich podań, zostanie jedynie rzeczywistość. Jeśli o mnie chodzi, to na myśl przychodzi mi jedynie jedna interpretacja i jest ona najprostsza: dla mnie kruk jest symbolem śmierci.

Zamykam oczy, prostuję ramiona, wypuszczam powietrze i jednocześnie unoszę nogi, by idealnie stanąć na rękach. Biorę trzy głębokie wdechy. Wciągam powietrze nosem i wypuszczam je ustami. Nigdy wcześniej nie udało mi się utrzymać lepszej równowagi. Mam idealną koordynację. Silny kręgosłup? Jest twardy jak skała. Gdybym naprawdę tego chciała, mogłabym trwać w tej pozycji przez kilka godzin. Jednak zanim w ogóle dostanę szansę, aby triumfować, z drugiego końca pokoju rozlega się huk pękającego balona z gumy do żucia zrobionego przez Scarlett.

– Dekoncentrujesz się, Mack.

Uśmiecham się i bez słowa przechodzę do pozycji skorpiona. Dobrze wie, że jak zawsze jestem cholernie skoncentrowana, ale prędzej kopnęłaby w kalendarz, niż to przyznała. Scarlett nie chce, żebym wyruszyła na swoją szaloną pielgrzymkę. W ciągu ostatnich miesięcy uciekała się do kilku dość kreatywnych przemówień, jednak fakt, że wraca do starych sztuczek, wskazuje na to, że chwyta się ostatniej deski ratunku. Byłoby to urocze, gdyby nie fakt, że wygląda przy tym na pokonaną.

Ma na sobie drugą skórę, jak nazywa strój składający się z czarnej sukienki oraz wysokich czerwonych szpilek. Nie ma wątpliwości, dokąd wybiera się wieczorem. W skali od jednego do dziesięciu Scarlett jest piętnastką. Jest niesamowicie zjawiskowa. Szkoda, że nie zdaje sobie z tego sprawy. Jak zawsze ma idealnie ułożone brązowe włosy, piwne oczy podkreśliła kohlem<sup>1</sup>, a jej kopertówka bez wątpienia jest wypełniona prezerwatywami.

Scarlett jest dziewczyną na telefon i kolejną przyjaciółką, którą poznałam na ulicy. Tak się złożyło, że stała w ciemnej alejce, do której kiedyś wepchnęło mnie i Tal dwóch typków. Miałam wtedy trzynaście lat i jak na swój wiek byłam twarda, lecz nie na tyle, aby poradzić sobie z dwoma kolesiami. Scarlett była cztery lata starsza i o wiele mądrzejsza, a poza tym... miała przy sobie nóż. Tamtej nocy mnie uratowała i samo przyznanie tego jest dla mnie bolesne.

Wydaje mi się, że nie jestem z nią tak blisko jak z Tal, jednak jesteśmy tak blisko, jak tylko dwie osoby mogą być. Jest kolejnym przeciętnym dzieciakiem, który wypadł poza system, a jej historia sprawiła, że nawet moje lodowate serce się roztopiło. Jeśli ktokolwiek wie, co motywuje człowieka, tą osobą jest właśnie Scarlett.

Powoli wracam na podłogę i rozciągając nogi, patrzę jej w oczy.

---

<sup>1</sup> Kohl – czarny sypki proszek do malowania oczu (przypr. tłum.).

– Dzień, w którym stracę koncentrację, będzie dniem mojej śmierci.

To były słowa mojego ojca i nigdy nie wydawały się bardziej prawdziwe. Stracił koncentrację w chwili, gdy związał się z Ruskiemi, a teraz spoczywa sześć stóp pod ziemią. Nie chcę wierzyć, że pisany jest mi taki sam los, a mimo to ten świat cały czas mnie wciąga.

– Chcesz wiedzieć, co o tym myślę, kochanie? – Scarlett zakłada nogę na nogę i wygładza fałdkę na sukience.

– Nie. – Poruszam głową to w jedną, to w drugą stronę, aż strzela mi w karku. – Nie chcę.

Ona i tak mówi dalej. To taka nasza codzienna rutyna.

– Myślę, że powinnaś wziąć te wszystkie odłożone pieniądze i dać je temu twojemu prywatnemu detektywowi oraz skupić się na rzeczach, które możesz kontrolować. Jak studia czy zrobienie czegoś ze swoim życiem.

– Pfff – pry cham. – I ty to mówisz? Scarlett, jak to możliwe, że ja mogę to zrobić, a ty już nie?

Milczy przez moment, a na jej twarzy pojawia się wyraz pożałowania.

– Nie musisz tego robić – nalega.

– A ty nie musisz dzisiaj wychodzić i sprzedawać swojego ciała – ripostuję.

Wzdycha i kończy za mnie:

– Ale i tak obie to zrobimy.

– Jest, jak jest, Scarlett. Obie jesteśmy pojebane. Jednak Talia...

Nie kończę zdania. Nie muszę tego robić. Obie wiemy, że Talia była najbardziej pojebana z nas wszystkich. Nigdy nie miała żadnych szans. Nawet teraz, wymawiając jej imię, czuję, jak moja pierś ściska rozpacz. Scarlett to zauważa, jednak nie robi z tego powodu draki. Za dobrze mnie zna.

– Pozwól, że ci pomogę – proponuje.

Nieczęsto czuję ciepło w swoim zimnym, martwym sercu. Lecz gdy kieruję wzrok ku drobnej siedzącej na sofie Scarlett, rodzi się

w nim ciepło. Gdzieś pod otaczającym ją pancerzem splecionym z drutu kolczastego kryje się złote serce. Jest o wiele za dobra, aby zadawać się z kimś takim jak ja, a jednak jest tutaj.

– Chcę, żebyś trzymała się od tego z daleka – przypominam jej. – Wiesz o tym.

Znika resztką blasku z jej oczu, ale mówię to, żeby ją chronić. Scarlett ma skłonności autodestrukcyjne, lubi zachowywać się lekkomyślnie. To jej popieprzony sposób radzenia sobie z tym, co ją spotkało, jednak ja nie będę tolerowała tego typu zachowań.

Z kolei ja to już zupełnie inna historia. Obie wiemy, że dzisiejszy dzień jest moim ostatnim dniem w Southie<sup>2</sup>. Jutro przeprowadzam się do obskurnego motelu w Roxbury i rozpoczynam nowy rozdział w życiu. Istnieje jedna szansa na milion, że nie wyjdę z tego żywa. I jest co do tego spora szansa, jeśli przeszłość Talii ma jakies znaczenie. Nie chcę nikogo wciągać w to bagno, więc zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Scarlett nie będzie o wszystkim informowana.

Będę za nią strasznie tęskniła.

Jest najbliższą rodziną, jaka mi pozostała. Nigdy nie miałam rodzeństwa, moja matka zmarła z powodu nowotworu, jak jeszcze nosiłam pieluchy.

A mój ojciec?

Był pierdoloną legendą.

Jack „The Hammerfist” Wilder. Był mistrzem bostońskiego parszywego bokserkiego podziemia. Aż w końcu przestał nim być. Gdy Rusczy nie dali sobie z nim rady, walcząc na gołe pięści, dokonali tego w ciemnej alejce za pomocą tępego noża.

Wydaje mi się, że mój tata wiedział, że długo nie pożyje. Zadzając się z mafią, tylko przyspieszył ten proces. Myślę, że poniósł porażkę, jeśli chodzi o przekazanie mi zasad Wilderów. Byłam jeszcze malutkim dzieckiem, gdy uczył mnie, jak wyprowadzać ciosy. Na niczym innym się nie znał. Ten człowiek jadł, oddy-

<sup>2</sup> South Boston – inaczej Southie, rozwijająca się dzielnica mieszkaniowa w Bostonie (przyj. tłum.).

chał i żył tylko dla boksu. Zawsze mówił, że nie może mi pomóc z matką ani nie nauczy mnie jak gotować, ale może mi pokazać, jak mogę się obronić.

Dla mnie to było bezcenne. Nauczyłam się, żeby być zadziorną i nigdy za nic nie przeproszać. Pokazał mi, że nie muszę być największa ani najtwardsza, wystarczy, że będę wiedzieć, gdzie uderzyć, aby zablokować. A Rosjanie uderzyli w najczulsze miejsce, odbierając mi go.

Mając trzynaście lat, nie mogłam z tym nic zrobić. Jednak w sprawie Talii mogę zrobić całkiem wiele. Takie chujki jak Rosjanie i ci rządzący w *Slainte* Irlandczycy uważają, że mogą, do cholery, robić wszystko, co im się podoba, i nie poniosą za to żadnych konsekwencji. Może w większości przypadków to prawda, ale jeszcze nie poznali nikogo takiego jak ja.

Jestem córką Jacka Wildera. Należę do trzeciego pokolenia irlandzko-amerykańskiej rodziny, a w moich żyłach płynie mistrzowska krew. Wychowywałam się na ulicach Southie i nikogo się nie boję. Dam sobie radę z każdym skurwysynem i zrobię to z uśmiechem na ustach. A gdy to się skończy, będą żałowali dnia, w którym spotkali lub zadarli z Talią Parker.

To bardziej niż prawdopodobne, że Scarlett rozumie mój tok myślenia, bo rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie.

– Chcesz na wszelki wypadek wziąć mój szczęśliwy nóż?

– Nie. – Uśmiecham się do niej. – Potrzebujesz go na swoich klientów. Moje ciało to zabójcza broń.

Moje poczucie humoru nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia.

– Powiem ci, Mack, że to nie takie proste, jak ci się wydaje. Nie zapominaj, jak to jest, kiedy przeciwnik ma przewagę liczebną.

Zeskakuję z maty i wymachuję rękami niczym ramionami wiatraka.

Wiem, że ma rację, ale nie daję tego po sobie poznać. Scarlett od lat sprzedaje swoje ciało. Jej dusza już dawno temu opuściła

tę śmiertelną powłokę. Sama powinna wiedzieć najlepiej, jak to jest, gdy nie ma się przewagi liczebnej. W jej oczach wciąż widać zgrozę, a mimo to każdego dnia naraża się na niebezpieczeństwo. Już dawno temu pogodziłam się z podejmowanymi przez nią decyzjami. Nie da się zmienić ułożenia cętek na skórze lamparta. Tylko zepsuci ludzie mogą się naprawić.

Jeśli o mnie chodzi, jestem boleśnie świadoma, że nie mogę zmienić historii. Cokolwiek stało się z Talią, należy już do przeszłości. Tego również nie mogę zmienić. Ale mogę uzyskać odpowiedź. Zdobędę dowód dla agentki Cameron, z dumą wrócę do jej biura i z hukiem oraz uśmiechem na twarzy położę go na jej biurku, czym rozjaśnię jej cały pieprzony rok.

Scarlett z udawaną obojętnością patrzy, jak się rozciągam. Każdego dnia podczas moich trzygodzinnych treningów ma ten sam nijaki wyraz twarzy. Jednak nawet ona nie jest w stanie ukryć ledwo zauważalnego błysku dumy w oczach, widząc, jak daleko zaszłam.

Przez ostatnie pół roku zupełnie poświęciłam się tej mieszance sztuk walki, jogi i pilatesu. Dzięki temu jestem silna oraz skupiona, a przy okazji nie obrosłam w tkankę mięśniową. Zdaniem Scarlett mogę to wykorzystać na swoją korzyść, bo mając niecały metr sześćdziesiąt wzrostu, jestem równie przerażająca, co kociak. Ludzie mnie nie doceniają, więc planuję tego używać i nadużywać w każdy możliwy sposób.

– Skopiesz im dupy – oznajmia.

– Zawsze to robię. – Posyłam jej buziaka, po czym idę do lodówki, aby wyciągnąć z niej butelkę wody mineralnej.

– Po prostu... bądź ostrożna, dobrze?

Zatrzymuję się, słysząc, że jej głos lekko drży. Z trudem przełykam ślinę.

– Ile masz jeszcze czasu? – pytam.

– Godzinę – odpowiada. – Dość dużo, żeby przetestować cię na różne sposoby w powalaniu facetów na kolana. Oczywiście

mówię teoretycznie – wypowiada to w taki sposób, jakbym miała ponieść porażkę, więc zacieram ręce i posyłam jej iście diabelski uśmiech.

– Dajesz, Scarlett. Dajesz.